

# Poezja niekończącego się zdziwienia

(Dokończenie ze strony 19)

i samowiedzy własnej: trzeba ich jakoś doświadczyć, by coś o nich można było powiedzieć. Zwierzęcość człowieka jest wspólna z innymi istotami żywymi i dlatego warto liczyć na podpowiedzi instynktów, przyjmując zasady np. kociego, psiego, czy ptasiego życia. Wspinamy się na szczyty, z których prawie nic nie widać, a w świecie jest przecież wiele miejsc, gdzie jeszcze czegoś nie ma, ale było lub może być, co sygnalizuje naszej przytomności, iż u podstawy wszystkiego płynie „rzeka bycia”, zaś świat i my mamy naturę wariabilistyczną.



Poetę również niepokoi los naszego życia na ziemi i możliwość jego końca w tym ludzkim modelu egzystowania. Wyraża się on np. „w smutku zwierząt”, że nie uratuje ich już Arka Noego, tak jak zieleń miłości, ale i losu zagubionych genów. Ważna w tej perspektywie jest nowoczesna interpretacja myśli (formy i materii) Arystotelesa, ale i twierdzenia Sokratesa – „wiem, że nic nie wiem”, która ma przede wszystkim wykładnię moralną i do dzisiaj jest aktualna, bo godność człowieka ciągle jest zagrożona. Poeta nie byłby poeta, gdyby nie marzył. W wierszu zamykającym tom pt. „Utopia” dowiadujemy się: *Inaczej i gdzie indziej. / Nikt nie wie, JAK tam się jest, / a JAK nie jest. // Może z inaczej wyłania się / inny czas, a z gdzie indziej / dobre gdzie, / bez śmierci nadziei / i końca świata.*

Sądźmy, że nasz tekst o tomie warszawskiego poety-filozofa odpowiada niejednokrotnie w duchu oksymoronicznym na aktu-

alne potrzeby ludzi w świecie ponowoczesnym, nękanym niekończącymi się zmianami, „zmianami zmian”, a napisany został w sumie przystępnym językiem i może każdemu podpowiadać jak myśleć, emocjonować się i zachowywać w naszej współczesności, w której postawa twórcza jest konieczna, by być człowiekiem.

**prof. Ignacy S. Fiut**

Stanisław Czerniak, *Powrót zdarzeń*. Postłowie: Marek Pieczara. Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2019, s. 156.



## Tacy sami...

(Dokończenie ze strony 13)

Odetchnąłem.

Nie opowiem całego swojego życia, bo i po co.

Weszliśmy w dorosłość oddzielnie. On chorowity, ciągle „słabował na płuca”, jak mówiła babcia, ustawicznie leczony, hospitalizowany, rehabilitowany.

Nie współczułem mu. Zajęło mnie wreszcie moje własne życie. Życie bez klona. Gdy wracał z kolejnych pobytów w lecznicach, cała rodzina żyła jego zdrowiem, a raczej brakiem tegoż. Wprawdzie babcia pocieszała mamę, że z tego wyrośnie, ale chyba żadna z nich w to nie wierzyła. Był już dorosły, chociaż jeszcze bardzo młody. Było oczywistym, że Piotr nie będzie studiował i nie ożeni się pewnie nigdy. „Chociaż, kto wie, mówili zatroskani krewni i znajomi, nigdy nic nie wiadomo”.

Ożenił się niespodziewanie.

Pewnego razu przywiózł i przedstawił rodzinie miłą dziewczynę poznaną w sanatorium.

Po roku doczekali się córki, a wkrótce potem chłopców bliźniaków.

Dzieci rosły i rozwijały się wspaniale. Mój brat promieniał szczęściem.

Dziewczynka nie interesowała mnie zupełnie, a chłopcy... Przepadali za sobą, byli identyczni i nierozłączni. I zawsze ubrani inaczej. Moja matka, a ich babcia kiedyś zagadnęła synową:

– Czemu nie ubierzesz ich tak samo? Przecież to bliźniaki.

– Piotr nie chce. Wręcz mi zabrania. Bardzo tego pilnuje.

Moja matka nie mogła się nadziwić. Nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić.

Nie miałem jakoś szczęścia do kobiet. Wszyscy uważali, że jestem piekielnie inteligentny. Skończyłem z wyróżnieniem studia na politechnice, dostałem dobrze płatną pracę. Byłem duszą towarzystwa, sypałem jak z rękawa dowcipami, czarowałem dziewcz-

czyni, które zmieniałem jak rękawiczki. Żadnej jednak nie udało się usidlić mnie na dłużej, choć próbowały. Do żadnej nie czułem nic więcej, niż pożądanie, które po krótkim czasie, spełnione, wygasło szybko jak jesienne ognisko na ugorze pod lasem.

Kiedy zerwałem z kolejną narzeczoną, mama powiedziała:

– Popatrzcie, są tacy sami, a tacy inni! Piotruś to samo szczęście i sukces, a Janeczek...

Piotr był zupełnie odmieniony. O chorobie dawno zapomniał. Rozkwitał. W ich połowie domu rozbrzmiewały radosne głosy dzieci. I muzyka. Oboje z żoną, choć niewyuczeni, pięknie śpiewali, trzeba przyznać. I grali – też amatorsko – ona na skrzypcach, on na pianinie. Dzieci wtórowały im jak mogły. Babcia promieniała.

– Popatrz, Krysiu, jak się kochają nasze maluchy!

To była prawda. Chłopcy nie rozstawali się ani na chwilę. Prawdziwe klony. Razem się bawili, razem jedli i spali. Byli identyczni.

Piotr mawiał:

– Chyba was nie rozróżniam. Ty jesteś Pawełek?

– Nie, tato – chłopczyk chichotał radośnie, nie podejrzewając ojcowego psikusa – jestem Janeczek.

– A, Janeczek. To wspaniale! Kocham cię, Janeczku.

– A mnie, a mnie? – wołał drugi.

– Ciebie też, ciebie też. Kocham was obu bardzo! – I tulił w objęciach te dwa swoje szczęścia.

Janeczek... Dzieciak o moim imieniu. Z moimi okrągłymi niebieskimi oczkami. Mały drań.

Nie, nieprawda. To prześlizchny aniołek, miły i delikatny. Taki sam jak jego brat klon. Patrzyłem na nich jak urzeczony. Doskonali. Cudni.

Mój klon całkowicie wyzdrowiał, a zacząłem chorować ja. Może dlatego, że paliłem jak smok, podupałem mocno na zdrowiu. Lekarze coś dostrzegli w moich płucach. Stwierdzono, że to nieoperacyjny guz. Dobrze chociaż, że mama, nie dowiedziawszy się strasznej diagnozy, odeszła do lepszego świata, gdzie zapewne spotkała się ze swoją matką – naszą babcią. I patrzą teraz obie, zatroskane, na nasz wspólny, podzielony dom.

Za ścianą rodzinnego domu mieszka człowiek... lepszy.

**Irena Nyczaj**



Rys. Barbara Medajska